

KROLIKARNIA

Dotychczas ukazały się:

1. Ewa Białołęcka – Kamień na szczycie (Kroniki Drugiego Kręgu. Księga II)
2. Iwona Surmik – Talizman złotego smoka
3. Tomasz Pacyński – Wrzesień
4. Anna Brzezińska – Opowieści z Wilżyńskiej Doliny
5. Maja Lidia Kossakowska – Obrońcy Królestwa
6. Tomasz Pacyński – Sherwood
7. Iwona Surmik – Smoczy Pakt
8. Tomasz Pacyński – Maskarada
9. Wawrzyniec Podrzucki – Uśpione archiwum
10. Ewa Białołęcka – Piołun i miód (Kroniki Drugiego Kręgu. Księga III)
11. Marcin Mortka – Ostatnia saga
12. Romuald Pawlak – Inne okręty
13. Tomasz Piątek – Żmije i krety
14. Wit Szostak – Wichry Smoczogór
15. Anna Brzezińska – Letni deszcz. Kielich (Saga o zbójcu Twardokęsku, cz. 3)
16. Tomasz Piątek – Szczury i rekiny
17. Tomasz Pacyński – Wrota światów. Zła piosenka
18. Michał Studniarek – Herbata z kwiatem paproci
19. Romuald Pawlak – Rycerz bezkonny
20. Izabela Szolc – Jehannette
21. Wit Szostak – Poszarpane granie
22. Tomasz Piątek – Elfy i ludzie
23. Wawrzyniec Podrzucki – Kosmiczne ziarna
24. Marcin Mortka – Wojna runów
25. Anna Brzezińska – Wody głębokie jak niebo
26. Iwona Surmik – Ostatni smok
27. Wit Szostak – Głędzby Ropucha
28. Krzysztof Piskorski – Wgnaniec
29. Marcin Mortka – Karaibska kruczata. Płonący Union Jack
30. Ewa Białołęcka – Naznaczeni błękitem (Kroniki Drugiego Kręgu. Księga I, cz. 1)
31. Izabela Szolc – Połowa nocy
32. Jacek Piekara – Ani słowa prawdy
33. Ewa Białołęcka – Naznaczeni błękitem (Kroniki Drugiego Kręgu. Księga I, cz. 2)
34. Krzysztof Piskorski – Najemnik
35. Marcin Mortka – Karaibska kruczata. La Tumba de los Piratas
36. Ewa Białołęcka – Róża Selbergu
37. Anna Brzezińska – Plewy na wietrze (Saga o zbójcu Twardokęsku, cz. 1)
38. Aleksandra Janusz – Dom Wschodzącego Słońca
39. Księga smoków (antologia)
40. Anna Brzezińska – Żmijowa harfa (Saga o zbójcu Twardokęsku, cz. 2)
41. Krzysztof Piskorski – Prorok
42. Marcin Mortka – Świt po bitwie
43. Anna Brzezińska, Grzegorz Wiśniewski – Za króla, ojczyznę i garść złota

W przygotowaniu:

- ◆ Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: cienie przeszłości

MACIEJ GUZEK

KROLIKARNIA



Agencja Wydawnicza
RUNA

KRÓLIKARNIA

Copyright © by Maciej Guzek, Warszawa 2007

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Alicja Daszkiewicz, Renata Lewandowska

Korekta: Jadwiga Piller, Maria Kaniewska

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30–701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2007

ISBN: 978–83–89595–35–5

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00–844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0–22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Rodzicom

A WY NIE CHCECIE UCIEKAĆ STĄD?

Tak jak obraz uzyskuje pełnię dzięki światłom i cieniem, kontrastom i walorom, tak pełnia życia człowieka i jego poznanie są możliwe dzięki najbardziej krańcowym doznaniom, nawet za cenę cierpienia (pathos), jako patologicznego przekroczenia określonej granicy, zwanej zdrowiem psychicznym. Z punktu widzenia ściśle lekarskiego choroba psychiczna jest zjawiskiem szkodliwym, często prowadzi do degeneracji i zahamowania działalności twórczej, ale z perspektywy historii, poznania psychologicznego i wartości kulturowych poszerzyła ona wiedzę ludzką o takie obszary, których przyszłoby może żałować, gdyby je skreślić z dziejów ludzkości.

Schizofrenia, Antoni Kępiński

*Stanął w ogniu nasz wielki dom
Dym w korytarzu kręci sznury
Jest głęboka naprawdę czarna noc
Z piwnic płonące uciekają szczury
Krzyczę przez okno czoło w szybę wgniatam
Haustem powietrza robię w żarze wylom*

Ten co mnie widzi ma mnie za wariata

Woła – co jeszcze świrze ci się śniło

(...)

Lecz większość śpi nadal przez sen się uśmiecha

A kto się zbudzi nie wierzy w przebudzenie

Krzyk w wytłumionych salach nie zna echa

Na rusztach łóżek milczy przerażenie

(...)

Dym coraz większy obcy ktoś się wdziera

A my wciśnięci w najdalszy sali kąt

– Tędy! – wrzeszczy – Niech was jasna cholera!

A my nie chcemy uciekać stąd!

Jacek Kaczmarski, 1980

PROLOG

Nie sposób było starego nie zauważyć. Jeśli jesteś psychiatrą, po prostu zwracasz na takich uwagę. Roman Głowacki przystanął zatem przy trzęsącym się dziadku o zamglonym wzroku, zwłaszcza że jakiś rys zmęczonej twarzy – kształt nosa, spojrzenie – wydały się mu znajome. Zresztą i tak musiałby się zatrzymać, wymuszała to geografia poznańskiego Starego Rynku, pływy mas ludzkich, wreszcie sam siwobrody, który zatrzymałby Romana tak czy inaczej. Starzec, jak zauważył wcześniej Roman, zaczepiał wszystkich przechodniów, oferując im towar. Rozłożył swe skarby na suchym bruku uliczki, kryjącej się pomiędzy szpetnym Arsenalem a wychuchanym budynkiem ratusza. Słowem, typowy obrazek dla jarmarków świętojańskich, rok w rok gromadzących wiele podobnych indywiduów, za grosze spieniężających swe dziedzictwo, często wątpliwej

wartości i pochodzenia; ale też, bywało, znajdowałeś podczas owych pchlich targów skarby prawdziwe, niepowtarzalne, klejnoty zapomniane.

Ciekawe, co też on może mieć, zastanawiał się Roman, nim dotarł do stoiska. Zapewne nic interesującego, bo zatrzymani odwracali głowy, głośno odmawiali, strzepywali z rękawów dłoni starca, jak gdyby uwalniali się od pyłu czy brudu. Kłoszard w kapeluszu mruczał wtedy pod nosem, chyba kłął.

Książki! Teraz wszystko jasne, skonstatował Roman. Ilu było Polaków, których mogłyby zainteresować książki? Większość z nich pojawiła się na rynku, aby porządnie się najeść i napić. Wybór był zresztą spory, budki i stoiska dymiły. Rozchodził się zapach pieczonych ziemniaków, kusił chleb ze smalcem, pieczone kiełbaski, żeberka i karkówka. Interesująco przedstawiła się również oferta trunków, rodzajów piwa było mnóstwo, prócz znanych marek również browary niszowe zwietrzyły okazję, wabiąc jasnym pszenicznym i słodkim ciemnym. Do tego dochodził ukraiński desant ze swą tajną bronią – bursztynowym i pachnącym kwasem chlebowym. Jeśli dodać występy sztukmistrzów, mimów i stoiska ze starymi meblami, nie dziwiło, że nikt nie zainteresował się książkami.

– Mieszkam w Polsce – wycedził Głowacki, zerkając na szare zakurzone grzbiety woluminów, które liczyły pewnie więcej lat niż ich właściciel. Wreszcie psychiatra podniósł głowę, spoglądając prosto w oczy starszaka-sprzedawcy.

Wzrok, który napotkał, nie był przyjazny. Roman pomyślał, że nieraz widywał podobne spojrzenia – u swoich

pacjentów, ale zaraz się zmitygował. Wszędzie widzę chorych umysłowo! To aberracja, skrzywienie zawodowe. Może po prostu koleś nieco wypił.

– Książeczkę? – zapytał brodac, zdejmując kapelusz i wykonując dłonią zapraszający gest.

U jego stóp leżało kilkadziesiąt grubych tomów, mocno sfatygowanych, pamiętających jeżeli nie czasy Franciszka Józefa, to z pewnością powstania śląskie i budowę portu w Gdyni. Kiedy stary mówił, zawiąło od niego alkoholem (gdyby nie powierzchowność mówiącego, Roman mógłby się założyć, że to zapach chivas regal) i mocnym, acz dobrym tytoniem.

– Tanio oddam – zachrypiał stary.

W nos Głowackiego uderzył kolejny alkoholowy dech. To musi być chivas regal, doszedł do wniosku Roman. Dobrze pamiętał zapach tego alkoholu, ulubionego trunku swego kolegi, Adama Niezgody.

– Tanio oddam – powtórzył obszarpaniec. – Czytanie ma przyszłość. Mądrość zdobyta z książek pozwala się ustrzec przed błędami.

Psychiatra machnął ręką. Zmrużył oczy, taksując uważnie sprzedawcę. Wrażenie, że to ktoś znajomy, było coraz bardziej natarczywe. A może, zastanawiał się Roman, jest po prostu podobny do kogoś? Może do Skrzyneckiego z Piwnicy pod Baranami? Odgonił skojarzenia – to przez Adama, uświadomił sobie, on ma fioła na punkcie Piwnicy.

– A co? – powiedział na głos. – Brakuje na jabolka? Obszarpaniec wydał pogardliwie wargi.

– Jabolków nie pijam – prychnął. – Nie to nie. Chociaż myślałem, że to pana zainteresuje.

Skąd on wie, że jestem psychiatrą, zastanawiał się Roman, kartkując książkę podaną przez starego. *Szaleństwo? Historie prawdziwe?* wyglądało dość interesująco. Wprawdzie Głowacki nigdzie nie mógł znaleźć informacji ani o tym, w którym roku książkę wydano, ani też jaka oficyna to zrobiła, ale jej wygląd – skórzana okładka, tłoczony tytuł, pożółkły papier, krój czcionek, „y” zamiast „i” – wszystko wskazywało na przełom XIX i XX wieku.

– Wie pan, zabory. Wtedy tak robili – mruknął nieudany sobowtór Skrzyneckiego, zapytany, ile lat liczy książka, jednocześnie wzruszając ramionami. – Cztery stowy. I dorzuci pan ten, o, wisiorek.

Głowacki początkowo nie wiedział, o czym stary mówi. Spuścił wzrok, zerknął na amulet. Ach, no tak.

Świecidełko kupił jakiś czas temu na straganie podczas kiermaszu towarzyszącego festynowi archeologicznemu w Biskupinie. Głowacki, samotny, w naturalny sposób ciągnął do tłumu, gwaru, do ludzi. Lubił kręcić się pośród straganów, oglądać setki drobnych przedmiotów, najczęściej tandetnych i kojarzących się z Cypelią, ale też znajdował pośród tej powodzi prawdziwe caczuszka. Tak było z amuletem czy raczej wisiorkiem. Na pozór zwyczajny, pełno takich wszędzie, lecz Roman wiedział, że ten jest wyjątkowy. Dzięki stonowanej barwie kamieni, dzięki temu, że pobłyskiwał pośród nich mały agat, wisior był trendy, jazzy, styly and cool. Wprawdzie na razie wiedzieli o tym nieliczni, ale Roman miał kolegę w firmie reklamowej, która właśnie dostała kontrakt na wypromowanie tego śmiecia mającego trafić do sprzedaży za kwotę, bagatela, dwustu

pięćdziesięciu złotych. Targetem była grupa jeszcze młodych, a już dobrze zarabiających facetów. To – opowiadał rozentuzjasmowany kolega, kreśląc plany kampanii reklamowej – wkrótce będzie wyróżnikiem twojej pozycji zawodowej, społecznej!

Zwykły wisiorek, przemknęło psychiatrze przez głowę, ale widząc cenę – 20 złotych – nie mógł z niej nie skorzystać. Dziewczyna, która sprzedawała ozdoby, bardzo zaniedbana i wyglądająca na fanatyczkę życia zgodnego z naturą (co najwidoczniej przejawiało się w nieużywaniu kosmetyków), o twarzy uduchowionej, jak gdyby właśnie objawiła jej się Matka Boska Fatimska, wspominała, że to amulet. Że przynosi szczęście i chroni przed czarami. Roman jednak zaśmiał się jej wtedy prosto w twarz.

– Biorę – powiedział, wyciągając dwudziestozłoty banknot. – Tylko bez czarów, plizzz.

Mimo że kobieta wyglądała na śmiertelnie obrażoną, wyglądała też na kogoś, kto rozpaczliwie potrzebuje gotówki, dlatego po chwili wahania podała psychiatrze klejnot, burcząc pod nosem:

– Działa, nawet jeśli się w niego nie wierzy.

– Biorę – powiedział teraz Głowacki, stojąc przed starcem, chwyciwszy książkę i zdjawszy wisiorek.

Wprawdzie zaskoczyło go, że do kloszarda dotarły już najnowsze trendy mody męskiej, nie było też szans, aby stary po nałożeniu wisiora przeistoczył się w rzeńskiego, dynamicznego singla, ale niech tam. Co to w końcu za strata? Prawda – po zakupie wisiora wiodło się Romanowi znakomicie, ale czy wcześniej wiodło mu się źle? A poza tym nie wolno mylić korelacji

dwóch zdarzeń z ciągiem przyczynowo-skutkowym. Sama myśl, że kilka ozdobnych kamyczków, zawieszonych na srebrnym łańcuszku, może w jakikolwiek sposób wpływać na bieg zdarzeń, była tak absurdalna, że aż śmieszna. Rozstawał się więc Głowacki ze swym niedawnym nabytkiem bez wielkiego żalu.

Niedorobiony Skrzynecki roześmiał się dziko, szaleńczo. Capnął amulet, sapnął bez sensu coś, co brzmiało mniej więcej: „He, he, cudze chwalimy, swego nie znamy, he, he... wiele mnie to kosztowało, te przeskoki wstecz, groźba paradoksu...”, i wsadził go szybko do przepastnej kieszeni. Kiedy stary chował gotówkę do kabzy, Roman zerknął na mocno wytarte podbicie marynarki. Niechby szurnięty dziadek kupił sobie nową za te cztery stówki, pomyślał. W tym samym momencie porwała go rzeka ludzi, zmierzająca ku drobiowym szaszłykom i grillowanej kiełbasie z musztardą. Zapachniało przypalonym mięsem i zwiertzałym piwem. Roman nie zwracał uwagi na przysmaki, przeglądał książkę. Dopiero wtedy spostrzegł pomiędzy kartami fotografię przedstawiającą jakiegoś leciwego jegomościa w cylindrze, trochę podobnego do sprzedawcy księgi, choć nie mogła to być ta sama osoba, bo zdjęcie wyglądało na bardzo stare. Z trudem zawrócił, przepchnął się przez tłum przy straganach z kwiatami, skręcił, minął pomnik bamberki, spojrzął przed siebie.

– To tutaj – powiedział cicho. – Stał tutaj. Ledwie pięć minut temu.

Pokręcił głową.

Starca już nie było.

Kiedy tylko przyjechał do domu, rozsiadł się w fotelu, napełnił kieliszek wytrawnym argentyńskim winem, kupionym na promocji w Marche, i otworzył książkę. Głowacki zbierał stare prace na temat szaleństwa i obłądu, traktował to jako hobby, którym można było się pochwalić. Poza tym zauważył, że robi to dobre wrażenie na odwiedzających go dziewczynach. Przez moment siedział z przymkniętymi powiekami, śniąc na jawie o pięknej żonie jednego z kolegów, wreszcie jego wzrok padł na pożółkłe karty księgi.

Szaleństwo? Historie prawdziwe?

Historia 1

Patrzyłem na człowieka, który zbliżał się do grot. Patrzyłem ze zdumieniem. Słyszałem już o tym pasterzu owiec, o tym rzemieślniku, którego sława rozprzestrzeniła się niby pożar w oliwnym gaju. Obserwowałem go bacznie, gdy – wyprostowany i nad podziw hardy – kroczył pośród baranich szkieletów i świeżych ludzkich trupów, widziałem, jak bez wahania zmierza w stronę grobów, skąd dobiegały dzikie krzyki. Spoglądałem na jego zamysłone oblicze i widziałem człowieka. Zwykłego człowieka, choć odważnego. Do szaleństwa. Jak ktoś może być równie szalony, pomyślałem.

Stultus!

A potem przypomniałem sobie, jak tutejsi określają takich jak on.

„Meszugge”.

Odszedł od zmysłów.

Właściwy człek na miejscu właściwym.

Ledwie chwilę wcześniej jezioro szalało. Wysokie fale biły o brzegi, błyskawice biły w spienione wody, a ci, którzy byli małego ducha i wierzyli w gusa, bili się w piersi. Łódki rybaków przypominały mi łupiny orzecha, rzucone do kałuży, w którą wdepnął olbrzym. Aż nagle, niespodzianie, jezioro ucichło, jakby ów olbrzym rozmyślił się i jednym stanowczym ruchem dłoni wygładził zagniecenia na tkaninie.

Olbrzym istotnie wówczas przybył. Tyle że ja przekonałem się o tym nieco później.

Najbardziej przeszkadzały mi podówczas dwie rzeczy. Pierwsza to konieczność przebywania w kraju pełnym szaleńców, mistyków, chłopów i świń, czego przykładem była dwutysięczna, pasąca się na stoku wzgórza nieopodal, trzoda. Druga to strach.

Strach dla byłego legionisty, a teraz najemnika, oznacza hańbę. Stojąc na brzegu jeziora Genezaret, w dalekim kraju Gadareńczyków, nieopodal Kursi, okrywałem się hańbą w każdej chwili. Ja, Pollion Młodszy! Bałem się śmiertelnie i przeklinałem mojego chlebobawcę, tetrarchę Filipa, za którego przyczyną znalazłem się w owym ponurym miejscu.

– Pojedziecie do Kursi. – Tetrarcha otarł rękawem brudne od oliwy usta.

Spojrzał badawczo na mnie, następnie na człeka stojącego po swej prawicy. Człek był cały w czerniach, oczy miał przenikliwie, a twarz chytrą.

Miejscowy, poznałem. Jeden z magów.

Żyd.

– Tam, w okolicach, w grotach, gdzie trupy chowają, mieszka dwóch szaleńców – mówił tetrarcha, racząc się winem czerwonym niby krew.

Choć siedziałem pośród Żydów już długo i zrostem się z ich krajem, mówiono o mnie w tamtych dniach – jak o wszystkich Rzymianach – syn wilczycy. I zaiste, miałem naturę wilka, każda czerwień przywodziła mi na myśl krew. Łaknąłem jej. Znacznie bardziej niżli wina.

– Szaleńcy owi niepokoją miejscową ludność. Sieją strach. Zniszczenie. Sieją – a to może najgorsze – zwątpienie. Ty wiesz, Pollionie, ciemna miejscowa ludność w każdym obłąkanym widzi opętanego, w każdej chorobie – szatana.

– Z szatana – rzekł ten w czerniach – naigrawać się nie należy. Niemądrze. Nigdy nie wiadomo, po kogo przyjdzie. Ani kiedy.

– Nie strasz mnie, rabbi, ja się twych złych duchów nie boję!... – wykrzyknął tetrarcha, uśmiechając się pogardliwie, ale tamten, zupełnie bez respektu dla Filipowego urzędu, przerwał mu:

– Nie jestem nauczycielem, nie myl mnie, jeśli łaska, z tym szalonym cieślą.

– Wszyscyście szaleni – warknął Filip, przestając się uśmiechać. – Jak ci dwaj...

– Jak ci dwaj... – powtórzyłem, gdy stanęliśmy obozem nieopodal grobowców, nad brzegiem jeziora Genezaret.

Z dala dobiegały nas jęki i pobrzękiwania. Na przemian z dzikimi krzykami, których znaczenia nie mogłem odgadnąć. Zapytałem noszącego się czarno Żyda, co mniema o owych strasznych odgłosach.

– Szatan? – zadrwiłem.

Zapytany uśmiechnął się tylko. Milczał długo. Wreszcie rzekł cicho:

– Tyś, panie, z Rzymu?

Skinąłem głową.

– Wy tam, w Rzymie, macie wielu bogów. Wierzyacie w którego?

Zaśmiałem się dziko. Cóż za pomysł?

Rzecz jasna, nie.

Chytry Żyd również się zaśmiał.

– U nas zaś odwrotnie – powiedział – ludzie wierzą we wszystko. Są, jakby rzec, łatwowierni.

– Ty też? – spytałem.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się uśmiechem zarezerwowanym dla tych, którym za górę złota sprzedawał bezwartościowe świecidełka. – Wierzę w Tego, którego imienia nie wymawia się tak pochopnie jak owych waszych bogów, równie nieżywych, jak posągi, które ich przedstawiają. Wierzę. Ale też – ściszył głos i łypnął na mnie skrzącym inteligencją okiem – wiem, że nie wszystko, co lud bierze za działanie duchów, jest tym działaniem w istocie. Na przykład burze... Wystaw sobie, że rybacy, których łódki właśnie dobijają do brzegu, każdą burzę biorą za znak Pana. Podobnie burzy ustanie. I tak ze wszystkim. Z wichurami. Z plagą. Z głodem. Z pomorem bydła.

– Z szaleństwem? – zapytałem, a jego ciemne oczy błysnęły.

– Niegłupich Rzym ma żołnierzy – stwierdził z przekąsem.

Na te słowa znów przed oczami stanął mi tetrarcha, który rzekł, że ja i moi ludzie będziemy ramieniem wyprawy. Głową zaś – ów Żyd.

– Nie sędzę, byśmy mieli do czynienia z szatanem wcielonym – mój rozmówca, zapewne pod wpływem wina, zrobił się bardzo gadatliwy. – Nie sędzę, by ci nieszczęśnicy chowający się po grobach widzieli Szeol czy inne jakowe zaświaty. Jedyne zaświaty im dostępne to zaświaty ich duszy, a jedyna czerń – czernią ich szaleństwa. Lecz w ten sposób mogę rozmawiać z tobą, Pollionie, lub z twoim panem. Z mieszkańcami Kursi trzeba inaczej. Nasz pan zaś nie chce uspokoić ciebie czy mnie, jeno właśnie ich. Tych, którzy zamieszkują tę ziemię, tych, którzy płacą daniny...

– Tych, którzy burzą się, słuchając proroków – wszedłem mu w słowo – a zwłaszcza jednego z nich. Informatorzy donoszą, że lada dzień on będzie tutaj. Na drugim brzegu jeziora. Lud zaś...

– Lud – czarno odziany zlewał się z nocnym niebem, a ja przez moment pomyślałem, że ów żydowski szatan jednak istnieje i siedzi naprzeciwko mnie – jest ciemny i, choć mierzi mnie to, potrzebuje sztuk kuglarskich i czarnoksięskich.

Lud w rzeczy samej wydał mi się ciemny i to bynajmniej nie przez wzgląd na karnację. Przypomniałem sobie pierwsze z owym ludem zetknięcie i toczone z jego przedstawicielami rozmowy, gdy przybyliśmy do Kursi. Ugościli nas jęczmiennym chlebem, jajami, serem i pieczoną rybą, która, jak się zdaje, stanowiła miejscowy – pozał się Jowiszu – przysmak. Potem zaś jęli snuć niestworzone opowieści. Opowieści o szaleńcach.

– Dawniej – powiedział jeden, patrząc ponuro i przegarniając swą brudną dłoń czarne kędziory – byli rybakami.